Nr 5—6 Maj — Czerwiec 1950

ECHO
DOMU MACIERZYSTEGO
CÓREK MIŁOSIERDZIA
ŚW. WINCENTEGO á PAULO

NAKŁADEM SIÓSTR MIŁOSIERDZIA w POLSCE

TREŚĆ

Za zezwoleniem Władzy Duchownej.

D. Z. G. D. w Sandomierzu. L-1-10017. Nr zam. 51. 13. VII. 1950 r. Nakł. 400.

ECHO DOMU MACIERZYSTEGO

Maj 1950 r.

SŁOWO OD PRZEŁOŻONYCH
(od Najprzew. Ojca)

MODLITWY STRZELISTE.

Otóż jesteśmy w pięknym miesiącu poświęconym Matce Niebieskiej. Jakże się cieszymy, że możemy skorzystać z tej sposobności, by wzmocnić jeszcze, jeśli to możliwe, nasze nabożeństwo do Najśw. Dziewicy. Wszystkie nasze modlitwy ku czci Maryi, jak codzienna koronka, Litania, Angelus, modlitwa strzelista: „O Maryo, bez grzechu poczęta, módl się za nami, którzy się do Ciebie uciekamy!" używanie Cudownego Medalika i szkaplerza i inne praktyki, odprawiać będziemy w tym miesiącu z tak wielką gorliwością, do jakiej tylko jesteśmy zdolnymi.

Używanie modlitwy strzelistej „O Maryo bez grzechu poczęta..." której tekst objawiła św. Katarzynie Laboure sama Niebios Królowa, a który Kościół św. ubogacił odpustami, jest nam dzisiaj pobudką do rozważenia korzyści modlitw strzelistych.

Modlitwy strzeliste służą do naszego własnego uświątobliwienia.

Podtrzymują one w ciągu dnia naszą miłość ku Bogu i ćwiczenie się w różnych cnotach naszego świętego stanu. Używanie ich jest wyrazem naszej wiary, naszej nadziei i miłości, co się bardzo Bogu podoba. Przez nie unosimy ze sobą w ciągu dnia święte uczucia, jakie zbudziły się w duszy w czasie rannej medytacji, na Mszy św. i przy Komunii św. Są one jakby lampką przybytku płonącą przed Tabernakulum i jak kwiaty o miłym zapachu umieszczone na ołtarzu, a będące

wyrazem czci i przywiązania serc wiernych. One strzegą również intencji wymienionej przy rannym pacierzu, gdyście ofiarowały wszystkie wasze myśli, słowa i uczynki tego dnia, dla wypełnienia świętej woli Bożej.

Przez używanie modlitw strzelistych możemy upodobnić się w pewien sposób do Najśw. Panny i św. Józefa, gdy byli w Nazarecie, gdyż niejako obcujemy z Panem Jezusem przez cały dzień. Jest to więc sposób postępowania w świętości, gdyż nadprzyrodzona atmosfera naszej duszy jest przez to często w ciągu dnia odnawiana.

Praktyka modlitw strzelistych pomaga nam do wzrostu w cnocie, bo zachowuje nas od zniechęcania się w napotykanych trudnościach lub od patrzenia na wszystko z punktu widzenia nadto naturalnego. Modlitwy strzeliste, to środek wzmacniający, dodający jędrności i siły wśród przeciwności i prób; są one jak błyszczące i jasne promienie słońca, które pozwalają nam spoglądać na wszystko pod kątem nadprzyrodzonym, bo nas utrzymują w łączności z Bogiem, z Najśw. Panną, ze Świętymi, przez słowa oświecające nasz umysł i wzruszające nasze serce.

Jakąż to pomoc znajdujemy wśród przeciwności w westchnieniu: „Jezu cichy i Serca pokornego, uczyń serce moje według Serca Twego!” W napotykanych próbach jaka to pociecha móc zawołać: „Najśw. Serce Jezusa, ufam Tobie!” Gdy pragniemy prosić o pomnożenie miłości dla Pana Jezusa, jakże pomogą nam te słowa: „Słodkie Serce Jezusa proszę najgoręcej, spraw niechaj Cię kocham coraz, coraz więcej!” Ile to pociechy kosztujemy w tych wezwaniach: „Jezus, Maria, Józef, Wam oddaję serce, umysł i życie moje! Jezus, Maria, Józef, bądźcie przy moim skonaniu! Jezus, Maria, Józef, niech umrę spokojnie w Waszej obecności!” Aby błagać o odpuszczenie grzechów, wskazaną jest modlitwa: „O mój Jezu, miłosierdzia!” lub ta inna „Ojcze Przedwieczny ofiaruję Ci Najdroższą Krew Jezusa na zadośćuczynienie za moje grzechy i za potrzeby Kościoła Świętego!” Jakże piękną jest także ta modlita strzelista: „Boskie Serce Jezusa nawróć grzeszników, zbaw umierających, uwolnij święte dusze w czyścu cierpiące!” Dla ucz-

czenia Najśw. Sakramentu mamy modlitwy: „Serce Eucharystyczne Jezusa pomnóż naszą wiarę, naszą nadzieję i naszą miłość!” lub „Serce Eucharystyczne Jezusa gorejące miłością ku nam, zapal serca nasze miłością ku Tobie”! Do Ducha Świętego mamy modlitwę: „Przyjdź Duchu Święty, napełnij serca wiernych Twoich i ogień miłości Twojej racz w nich zapalić”! Za zmarłych: „Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci. Niech odpoczywają w pokoju wiecznym. Amen”. Ileż to mamy pięknych wezwań, gdy chcemy wzywać Marię! „O Matko, moja Nadziejo!”, „Niech będzie błogosławione święte i niepokalane Poczęcie Najśw. Maryi Panny!” „Matko pięknej miłości, Matko bolesna, Matko miłosierdzia, módl się za nami!” „Królowo Różańca Świętego, módl się za nami!” Szczególnie pociągającą jest dla nas modlitwa objawiona św. Katarzynie Laboure: „O Maryo bez grzechu poczęta” itd.—Tak więc przez praktykę modlitw strzelistych wzrastamy w świętości, bo one pomagają nam nieustannie do przepojenia naszego życia duchem nadprzyrodzonym.

Modlitwy strzeliste służą nam także do pomagania drugim w uświęcaniu się. Spełniając nasze dzieła miłosierdzia, ileż to mamy sposobności pomagania bliźnim w doczesnych i duchownych potrzebach. W szpitalach, u wezgłowia chorych i umierających, jakże wiele dobrego czynić możemy duszom przez praktykę modlitw strzelistych wyrażających wiarę, nadzieję, miłość, żal za grzechy, ufność w miłosierdziu Bożym i inne święte uczucia. W szkołach, jakież szerokie pole, by zbliżać młodzież do Pana Jezusa i Matki naszej Niebieskiej, przez poddawanie im kilku modlitw strzelistych. Odwiedzając ubogich możemy ich uczyć uświęcać swoje położenie przez zwyczaj używania modlitw strzelistych wyrażających poddanie się woli Bożej w ich ubóstwie i cierpieniach. Mając do czynienia ze starcami, oto dobry środek, by im wskazać sposób uświęcania ostatnich lat życia i przygotowania się do śmierci przez zwyczaj częstego używania modlitw strzelistych. We wszystkich dziełach, pracując przy ubogich i chorych, możemy im oddać wielkie usługi posługując się modlitwami strzelistymi i zachęcając ich, aby podobnie czynili.

Modlitwy strzeliste mają tę szczególnie dogodną stronę, że ponieważ są bardzo krótkie, *można je* zatem *odmawiać o każdej porze dnia*, nie przerywając dlatego swej pracy.

Inną korzyścią tej praktyki jest to, że *Kościół św. ubogacił wielką ich liczbą cennymi odpustami.*

Święty nasz Założyciel zachęca nas do uciekania się do modlitw strzelistych, lecz pamiętajmy, że św. Wincenty nie chce, abyśmy w tej praktyce przesadzali, powtarzając je aż do znużenia. Umiarkowanie jest tu złotą regułą.

Kończąc to rozważanie o wartości modlitw strzelistych dla naszego osobistego uświęcenia i dla uświęcenia innych, powierzmy nasze postanowienia pod tym względem naszej Matce Niebieskiej, jako jeden ze środków okazania naszego nabożeństwa w tym miesiącu maju, podczas gdy z ufnością dziecka będziemy powtarzać modlitwę strzelistą, której nas sama nauczyła: „O Maryo bez grzechu poczęta módl się za nami, którzy się do Ciebie ciekamy."

William Slattery
Przełożony generalny.

Współbolеć z Maryą.

Nasza Niepokalana Matka jest zawsze u stóp krzyża, na którym cierpi Boski Jej Syn. Jej bolesne Serce współboleje ze wszystkimi Jego cierpieniami, mękami, ze wszystkimi upokorzeniami, zniewagami zadanymi przez Jego nieprzyjaciół, z ranami jakimi kaci ciało Jego pokryli. Marya niesie ciężar grzechów poprzez wieki. Jest nadal Matką bolesną, Królową Męczenników.

Władczyni Nieba, opuszcza niekiedy swój tron chwały, zstępując najczęściej jak może na naszą smutną ziemię, dla przypomnienia ludziom, że zapominają o tym, co Jej bolesne i niepokalane Serce wycierpiało dla ich miłości. Krew Jej Syna nie może płynąć bezużytecznie, bo wylana była dla oczyszczenia i odkupienia dusz naszych, a cel Odkupienia jeszcze nie jest osiągnięty w zupełności.

Marya wie o tym i Jej Macierzyńskie Serce pochyla się nad swymi kochającymi dziećmi, nad Córkami Miłosierdzia

zwłaszcza, by je pobudzić do współczucia rodzącego się z Miłości i które niczego Miłości nie odmawia.

Współczuć z Maryą, to znaczy nie tylko podzielać Jej boleści, ale przede wszystkim, *pracować z Nią* nad wyrywaniem dusz piekłu; *cierpieć z Nią* za winnych, aby otrzymali przebaczenie od Boskiego Miłosierdzia; *modlić się z Nią*, by naszym błaganiom dodać mocy, którąby wzruszyła Majestat Boga, tak potwornie obrażanego przez niezliczoną liczbę stworzeń wyszłych z rąk Jego.

W tym miesiącu maju, nie wystarcza ozdabiać nasze ołtarze najpiękniejszymi kwiatami, bo Jej oczy łzami zalane nie znalazłyby w nich pociechy, jaką Jej dać pragniemy. Zaiste, trzeba czcić ukochaną Matkę Zgromadzenia, śpiewać ku Jej czci najdźwięczniejsze pieśni, ale nadewszystko ofiarować Jej wiele gorliwych *Ave Maria*, płynących z miłujących serc, jakoby strzały miłości, jak naglące pozdrowienie, by Jej dowieść, że jesteśmy z Nią u stóp krzyża dla ubłagania Miłosiernego Serca Pana Niebios.

Maria sama zdaje się oczekiwać od nas nie tylko więcej ufności i nadziei, ale ściślejszego zjednoczenia z Jej dziełem matczynej miłości.

Gdy przyszła do naszej kaplicy w ową noc, tak drogą sercom naszym, ta Dziewica cała piękna i dobra, cała macierzyńska i tak kochająca, na chwilę zasępiło się pogodne Jej czoło, oblicze spoważniało... a głębokie spojrzenie odkryło smutek Jej duszy.

Zgromadzenie przeszło od tej pory wiele „niebezpieczeństw", które cudowne ręce Maryi miłośnie usunęły, ale od 1830 roku, Marya już kilkakrotnie powróciła na naszą biedną planetę, by powtórzyć swe macierzyńskie ostrzeżenia. W Lourdes zażądała modlitwy i pokuty. W Lą Salette płacze z głową w dłoniach, zdaje się zakrywać oczy. W Fatimie prosi usilniej jeszcze, by się uzbrojono przeciw atakom złego ducha. Wszędzie zaleca Różaniec, jako broń cudowną.

Co do nas, Córek Miłosierdzia, zrozumiejmy dobrze, zrozumiejmy skuteczniej czego Matka Bolesna oczekuje od naszej córecznej, serdecznej miłości. Do zbawienia świata dopomoże Maryi to, gdy każda z nas będzie skrupulatnie do-

kładną w wypełnianiu woli Bożej tak wyraźnie nam nałożonej w Regułach świętych. Usiłujmy zachować je w całości, jak najwierniej.

Czy to tak trudne dla Córki Miłosierdzia, otrzeć łzy Tej Matki Bolesnej, usunąć smutek Jej czystego spojrzenia i uspokoić Jej boleść, bo chodzi tu jedynie o to, by czynić z miłością i bez uprzykrzenia każdej chwili to, czego Bóg wymaga od nas, to co oznaczył przez naszych św. Założycieli w św. Regułach ogólnych i szczególnych, które są skarbem Zgromadzenia.

Rozmyślajmy często nad westchnieniami Niepokalanego Serca Maryi, słyszanymi w naszej kaplicy, a pewnie nieraz powtarzanymi z powodu twardości naszych uszów, niezrozumienia naszych umysłów, uporności naszej pychy, miękkości naszej woli, zatwardziałości naszych przyzwyczajeń, braku zastanowienia w naszych uchybieniach.

„Przykro mi"... „Reguła nie jest zachowana"... „Są nadużycia..., opuszczenia"...

Ponieważ Marya zwraca się do naszych oddanych i kochających Ją serc, z pewnością nie napróżno szeptać nam będzie każdego dnia jeszcze swe macierzyńskie wymówki. Wspólnie czynić będziemy co wieczór rachunek sumienia miłości, u stóp Maryi, by zdać sobie sprawę, czy nie odmówiłyśmy czego Jej współczującej tkliwości wśród dnia i nie będziemy obojętnymi na nasze uchybienia Regule. Przeprosimy za to Maryę, gdyż przez to zrobiłyśmy uszczerbek w skarbie, jaki Ona przygotowuje dla zbawienia świata. Zatem gorąco pragnąć będziemy, a raczej zdobędziemy się na odwagę naprawienia wyrządzonej krzywdy przez okupienie naszej słabości przez jaką kosztującą nas coniebądź ofiarę, czy odmówienie jakiej krótkiej modlitwy.

Wszystkie mogłybyśmy być sumienniejszymi. Wiem, że niekiedy mogą być wyjątki w Regule. Maria stała jest i niewzruszona; toteż kto się na niej wspiera, nie upada, podczas gdy te, które nią pogardzają, lub uchylają się od jej ostrości, załamują się, łamiąc ją przez pychę lub kaprys.

Współczujmy z Maryą — i płaczmy z Nią, — módlmy się z Nią — cierpmy z Nią — bądźmy z Nią, zawsze wierną, zawsze

oddaną, zawsze uległą i najpokorniejszą „Służebnicą Pańską". Przez nasze posłuszeństwo nadprzyrodzone i miłosne, uciszymy gniew sprawiedliwego Boga i zatrzymamy Jego karzące ramię, jeśli w cieniu Krzyża i Reguły, stać będziemy przy Maryi, wstawiając się i ofiarując się nieustannie za naszych nieszczęśliwych braci. Czyż to nie jest najdoskonalszy urząd naszego powołania poświęconego ogólnemu Miłosierdziu? Wypełniajmy go w cichej radości świętej tajemnicy, która nas wydaje całkowicie na okup dusz.

Siostra Maria-Antonina Blanchot.

W Tunisie i Algierze od 14 do 26 lutego.

Podróż z Palermo do Tunisu była bardzo przyjemna: przelatywano ponad wulkanicznymi górami, poprzerzynanymi głębokimi rozpadlinami. Aby je przebyć, trzeba było zaraz wznieść się wysoko, poprzez chmury. Słońce rzucało z góry jasne promienie, ale zdawało się, jakby samolot płynął po morzu iskrzącego się śniegu. Po niejakim czasie chmury się rozeszły i widać było tylko lazur, tak w górze jak i na dole, błękit morza Śródziemnego zlewał się z błękitem nieba. Po godzinie takiej jazdy zaczęła się ukazywać jakby złotawa linia: wody stawały się bardziej przezroczyste w miarę, jak zniżano lot i ukazało się wybrzeże Tunisu... Samolot zatoczył szerokie półkole i spuścił się na lotnisko w El-Auina.

TUNIS.

Tunis! Nazwa ta wywołuje całą plejadę wspomnień: sławne w historii wojny Rzymu z Kartaginą... napady Berberów... Turków... śmierć św. Ludwika, wszystko to staje na pamięci. Niedaleko od obecnego miasta widać wykopaliska dawnej Kartaginy.

Ale dla serca Córki Miłosierdzia są tu droższe jeszcze wspomnienia: w Tunisie był początek niewoli św. Wincentego, tutaj także było pole heroicznych poświęceń jego synów, Juliana Guerin i Jana le Vacher!

Przechodząc ulice napełnione różnobarwnym tłumem, przeważnie w turbanach i burnusach, nie trudno uprzytomnić

sobie scenę opisaną przez naszego Błogosławionego Ojca: „Piraci obszedłszy z nami pięć czy sześć razy dokoła miasta, z łańcuchem na szyi, odprowadzili nas na statek, aby kupcy mogli przekonać się, który z nas może jeść, a który nie, by pokazać, że rany nasze nie były śmiertelne. Potem zaprowadzili nas na plac, gdzie kupcy przyszli nas obejrzeć...” Św. Wincenty nie miał wtedy jeszcze 30 lat, silnie odczuwał upokorzenie swego położenia... jak również cierpienia fizyczne i moralne, jakie pociągała za sobą niewola 2 lata trwająca u trzech panów, bardzo od siebie odmiennych, tak pod względem charakteru jak i stanowiska. Opatrzność dopuściła to pamiętne doświadczenie, by było pobudką św. Wincentemu do śmiałych przedsięwzięć dla ratowania tych, których podzielał niegdyś ciężką niedolę. Byłby chciał przepłynąć morze, by spieszyć samemu na ich ratowanie, gdy zaś nie mógł tego uczynić, posyłał do nich swoich najlepszych synów. Pracy im tam nie brakowało, bo w samym Tunisie było wtedy 14 więzień, w których przebywało ponad 7 tysięcy niewolników... Jakże piękne karty miłości Bożej zapisane wtedy zostały! Tutaj, tymi wązkimi uliczkami przebiegał Jan le Vacher... Oto biedny, ciemny kościołek, który utrzymywał i ozdabiał... A katedra? Wzniesiona jest na gruncie dawnego cmentarza chrześcijan... Najprzew. Matka udała się do Rezydencji, by złożyć uszanowanie Rezydentowi, przedstawicielowi Francji, ale w owych czasach, Rezydentem był pokorny, młody kapłan Zgromadzenia Misji, Jan le Vacher... konsul Francji.

Jestże to zuchwalstwem myśleć, że św. Wincenty ze szczególnym upodobaniem spogląda na tych swoich synów i córki, którzy dzisiaj trudzą się w pracy w tym samym mieście, gdzie niegdyś on sam i jego synowie tyle przecierpieli?

Obecnie także jeden z jego synów stoi na czele Kościoła w Afryce, Jego Ekscelencja Ks. Gounot, Arcybiskup Tunisu i Kartaginy...

Najprz. Matka ma szczęście powitać go zaraz w tym pierwszym dniu swego pobytu, 14 lutego i w jego towarzystwie zwiedziła katedrę.

Na lotnisku powitana została przet Siostrę Schanot, Wizytatorkę Prowincji i przez Siostry Służebne miasta. Zaraz udała się do Żłóbka, gdzie zamieszkała na te dwa dni.

„Żłóbek jest w środku ludnej dzielnicy tuniskiej... Z rana matki spieszą ze wszystkich stron prowadząc za rękę jedno lub dwoje dzieci. Dom z zewnątrz wygląda jak wszystkie inne. Na podwórzu już kornet na nie oczekuje: jedną miłość zastąpi miłość inna, matki mogą być spokojne.

Dziecko idzie najprzód zmienić ubranie, bo panuje tu higiena i od różowego czy niebieskiego fartuszka do łóżeczek i kołysek, wszystko musi się świecić czystością. Maleńkie dzieci idą do żłóbka, trochę starsze do przedszkola, a większe jeszcze do szkoły... Wszystkich jest blisko 500, bez różnicy ras i religii, bo muzułmanie ujęci dobrocią Sióstr, także powierzają im swoje dzieci. [Tego roku jest przeszło 150 dzieci muzułmańskich, na ogólną liczbę 460].

W godzinę później przychodzą inne kobiety, owinięte długim, tradycyjnym, białym welonem, z twarzą zakrytą czarną zasłoną tak, że oczy tylko widać... Przyciskają do serca swoje biedne maleństwa, mizerne i wychudzone. Tym razem, to nie do żłóbka, ale spieszą na wizytę lekarską. Ile ich przyjdzie tego rana do przychodni? Wie to Anioł Stróż Siostry Anieli, bo wysłuchuje wszystkie rozmowy, jakie się tam nawiązują. Nie można, oczywiście, mówić tym biednym muzułmankom o Bogu chrześcijańskim, ale można ogólnie mówić o dobrym Bogu, którego rozporządzeniom trzeba się poddać wspaniałomyślnie, o Bogu, który nas kocha i chce naszego dobra, który nagradza za dobre a karze za złe... Ale najlepszym kazaniem jest świadczone im miłosierdzie i nie rzadko słyszy się je, jak mówią: „Jaka szkoda, że nie jesteście wyznawcami Mahometa!" Panie Miłosierdzia udzielają pomocy wszystkim dziełom, a z pomiędzy Dzieci Marii rekrutują się kierowniczki Dusz Walecznych, Stowarzyszone św. Ludwiki de Marillac, dobrowolne katechetki: jedna z dawnych Dzieci Maryi podjęła się uczyć biedne dziewczynki pragnące nauki, które przychodzą do niej, jak tylko mają czas wolny... Kto zliczy dusze, które stały się lepszymi i wprowadzone zostały na drogę zbawienia przez uczęszczanie do tuniskiego „żłóbka", od 1896 roku, gdy traktat ustalił Protektorat francuski nad tym krajem.

To samo powiedzieć można o *Kuchni ludowej,* do której zmierzają nędze nie mające żadnej pomocy. W roku 1949-ym wydano tam przeszło 12 tysięcy porcji starcom, biednym podróżnym, bezrobotnym, opuszczonym dzieciom, poza Opieką Społeczną zorganizowaną w sposób stały. Przychodnia przyjmuje tam codziennie około 50 chorych, a 150 małych dzieci zapisanych jest do szkółki. Bursa jest niestety, zbyt szczupła i obecnie mieści się tam tylko do 30 studentek, otrzymujących całe utrzymanie. Siostry zajmują się nadto koloniami wakacyjnymi.

Sierociniec *La Marsa* jest trzecim domem Tunisu. Prowadzi do niego długa aleja wysadzana palmami, dom biały:

jest to stary pałac arabski, dający obecnie schronienie małym sierotkom. W czworokątnym podwórzu centralnym, otoczonym maurytańskim krużgankiem, popisywały się przed Najprz. Matką swoją siłą i zręcznością. Wprzód jednak powitały Ją w samej kaplicy, gdzie kilkoro z nich, grzeczne jak aniołki, za które się poprzebierały, potrafiły powiedzieć że rozumieją, jakiego dostąpiły zaszczytu widząc matkę wszystkich Sióstr.

La Marsa jest położone blisko Kartaginy i Najprz. Matka nie omieszkała udać się do katedry zbudowanej, jak przypuszczają, na miejscu, gdzie umarł św. Ludwik. W Kartaginie jest także nowicjat Ojców Białych. Jest tam jeszcze bardzo ciekawe Muzeum, a specjalista tłumaczy znaczenie eksponatów dwóch głównych sal: jest to wywołanie minionych wieków historii, tak pod względem politycznym jak i religijnym.

O parę kilometrów dalej widać jeszcze ruiny... amfiteatr, gdzie św. Felicyta i św. Perpetua zginęły śmiercią męczeńską, rzucone dzikim zwierzętom. Z daleka tylko dostrzega się podziemne więzienia, ale modlitwa wznosi się do tych, które tak dobrze umiały wzgardzić życiem, aby zyskać niebo. Wszędzie w tych miejscach unosi się postać wielkiego św. Augustyna o tak gorącej duszy. Nikt tak, jak on nie był wrażliwy na piękność tych afrykańskich krajobrazów... ale czyż nie odnajdujemy echa jego myśli w tej jego pięknej modlitwie: „Przyjdź do Chrystusa, tu jest twój cel; cokolwiek napotkałbyś na twej drodze, omiń to, byle dosięgnąć Chrystusa, piękność najwyższą!"... Bliższym nam jest świątobliwy apostoł Afryki, kardynał Lavigerie, którego postać przypominają nam jego synowie, ubrani w burnusy, z widniejącym na nich różańcem i krzyżem.

Ziemia Świętych, ziemia męczenników, taką jest ta ziemia afrykańska i taką przedstawił ją Najprz. Matce Monsinior Gounot w krótkim przemówieniu w kaplicy Sióstr, gdzie przyszedł by odprawić na jej intencję Mszę św. Prymas Afryki może być dumny ze swego Kościoła. Kształcenie księży powierzone jest Księżom Misjonarzom, którym Najprz. Matka złoży uszanowanie w Dużym Seminarium, przed opuszczeniem miasta.

Czwartek 18 lutego. — Samolot miał odlecieć do Bony o godzinie 8-ej! Ale człowiek projektuje, a Pan Bóg rozporządza, jak mówi francuskie przysłowie. Gdy Siostry przyby-

ły na lotnisko na oznaczoną godzinę, deszcz padał ulewny, a wiatr był tak gwałtowny, że przydrożne drzewa palmowe zamiatały ziemię swymi wierzchołkowymi kiściami... Czekają godzinę w poczekalni, gdzie piecyk węglowy ledwie starcza do ogrzania się trochę... czekają drugą godzinę, wreszcie ogłoszenie, że z powodu niepogody samolot dziś nie wyruszy! Biedne Siostry z Bony, gdzie od rana wszystko było tak dobrze przygotowane! Trzeba tam jednak dojechać, żeby się dostać do Konstantyny! Co tu robić? Ks. Arcybiskup Gounot byłby chętnie przyszedł z pomocą, ale jego auto pojechało z Ks. Rhodain, który objeżdża dzieło Pomocy Katolickiej... Czy można jeszcze prosić Rezydencję, która już przez 2 dni oddała swoje auto na usługi Najprz. Matki? Ale nie ma innego sposobu dla przebycia 283 km dzielących Tunis od Bony...

BONA.

Droga byłaby bardzo zajmująca, bo się przebywało wysokie góry, skaliste przełęcze, potem falistą równinę tunisejską! Ale zawierucha była taka straszna, że okna auta były całkiem zachlapane błotem, a na zakrętach szofer musiał wysilać całą uwagę, aby nie wpaść w jaką rozpadlinę! Po pięciu godzinach takiej jazdy, o godzinie 7-ej wieczorem, biedne Siostry z Bony ujrzały przybywającą Najprz. Matkę, której spodziewały się przed południem. Musiały poodsyłać dzieci, dziewczęta, chorych, cały swój ukochany ludek, tak starannie przygotowany na przyjęcie! Tylko dziewczęta z Bursy mogły nazajutrz rano, przed odjazdem, odśpiewać Najprz. Matce parę pieśni.

Jakżeby miło było odwiedzić parę domów... dojechać do Dżidżelli, gdzie Siostry nasze bardzo są osamotnione na swojej nadmorskiej placówce, ale czas zbyt jest ograniczony i nazajutrz, o godzinie 7-ej rano, auto unosi Najprz. Matkę do Konstantyny. Tym razem pogoda jest możliwsza. Nie jest to jeszcze zwykłe, gorące słońce Afryki, jednak już się pokazuje i pozwala podziwiać katedrę w Hipponie, oraz piękne jej położenie. Jakiś pustelnik św. Augustyna otworzył drzwi świątyni i poprowadził do relikwi swego Błogosławionego Ojca. Spoczywa on za wielkim ołtarzem, w kaplicy jemu poświęconej: wygląd majestatyczny, spokojny i pogodny, zdaje się

panować nad niestałością ziemi i po tylu ciężkich walkach kosztować z trudem zdobytego pokoju, którego tajemnicę podał nam w tych słowach: „Niespokojne jest serce, Panie, dopóki w Tobie nie spocznie...” W ogrodzie, na zboczach przed katedrą, wznosi się wysoka jego statua, zdając się panować nad zatoką i bezmiarem morza. Tutaj może przychodził rozmyślać, by potem napisać swoje nieśmiertelne dzieło „Miasto Boże”. Ten nadmorski krajobraz musiał mu przypominać Ostię i niebiańskie rozmowy ze świętą Moniką! Chętnie zostałoby się tam dłużej, ale szofer się spieszy, bo mamy przed sobą dobre 3 godziny jazdy...

Droga rozjaśniona jest pięknymi promieniami słońca. Przebywamy małe miasteczka z małymi, niskimi domkami o czerwonych dachach. Prawie wszędzie dostrzegamy maleńki kościołek i w duchu biegniemy pokłonić się Boskiemu Mistrzowi. Pola bardzo starannie są uprawiane, urodzaje bogate, widocznie ziemia żyzna. Jest piątek; kobiety owinięte długimi welonami — zupełnie czarnymi w tej okolicy, tak, że możnaby je wziąść za zakonnice — idą długim szeregiem modlić się na grobach swych zmarłych. Z drogi dostrzegamy cmentarz, na grobach jeden lub dwa płaskie kamienie wbite na sztorc, wskazują miejsce, gdzie spoczywa nieboszczyk. Spotyka się też dużo małych osiołków obarczonych na prawo i na lewo koszykami, a czasem siedzi też na jego grzbiecie poganiacz, którego długie nogi zwisają prawie do ziemi! Od czasu do czasu, gdy auto przejeżdża, wyskakują niewiadomo skąd brązowe wyrostki podając w wyciągniętych rękach to kurę, to wiązkę dzikich szparagów, to parę świeżych ryb, zachęcając do kupienia. W niektórych wioskach, przez które przejeżdżamy, jest targ: różnokolorowa wystawa różnych produktów pokładzionych bezładnie na ziemi. Ludzie i zwierzęta bez ceremonii zajmują sobie teren drogi publicznej, a to już rzecz auta, znaleźć sposób, żeby ich wyminąć lub też czekać, aż się miejsce opróżni! Chwilami przypomina się Palestyna, gdy widzi się taką rodzinę: młoda matka jedzie na osiołku tuląc do siebie małe dziecko ukryte pod welonem, osiołka zaś prowadzi brązowy Arab, idący przy boku. Za równiną Bony znowu zaczynają się góry, wśród nich z rzadka wioski koloru ziemi, przyczepione i ukryte na zboczach.

KONSTANTYNA

Wreszcie, oto Konstantyna! Robi wrażenie miasta niezdobytego, ukazując się nagle na wierzchu skalistej płaszczyzny, wzniesionej na 700 metrów, o zawrotnie stromych zboczach, na dnie których, w jarze głębokim na jakie 100 metrów, płynie rzeka Rummel. Głęboka rozpadlina rozdziela teren miasta na dwie części, jeszcze dziwniejszym czyniąc jego położenie... Najprzew. Matka udała się najprzód do *„Żłóbka"*, przyczepionego na zboczu, z prześlicznym widokiem na góry, jak okiem sięgnąć. Widać w dole potok, którego wody, w czasach prześladowania, zbyt często czerwieniły się krwią chrześcijan. Pokazują nieopodal głęboką jaskinię, która kiedyś zapełniona była głowami męczenników.

Dzieła w „żłobku" bardzo są żywotne: maleństwa mają lokal doskonale urządzony, według ostatnich wymagań higieny. W Przedszkolu, trochę starsze uczą się śpiewać, rysować i bawią się wesoło! Dzieła młodzieży bardzo są czynne: Dusze Waleczne, Stowarzyszone św. Ludwiki de Marillac, Dzieci Maryi wszystkich parafii rywalizują pod względem zapału i gorliwości. W Przychodni, jak i w Kuchni ludowej liczni są „klienci", nasi ukochani Panowie.

Po drodze filii w El - Kantara jest *Sierociniec dla kolonistów...* Najprz. Matka zatrzymuje się tam, by wysłuchać powinszowania chłopczyków i dziewczynek wzrastających pod macierzyńskim okiem Sióstr... Po przejściu wiszącego mostu, jesteśmy w ludnej dzielnicy El - Kantara. Dwie Siostry przychodzą tu codziennie, jedna dla zajęcia się dziećmi, druga Ubogimi, a pracy jest dużo... tak, jak i w szpitalu, gdzie tylko 20 Sióstr musi zapewnić obsługę 1200 chorych! Najprz. Matka przybyła do tego obszernego Zakładu już o zapadającej nocy. Wysłuchała hymnu do Najśw. Panny po arabsku, potem było Błogosławieństwo Najśw. Sakramentem i kolacja, którą miło Jej było spożyć wśród swych córek pielęgniarek. Ledwie jest chwila czasu, żeby zajrzeć na jeden z męskich oddziałów, gdzie właśnie jeden z muzułmanów, nie zważając na żadne względy ludzkie, wyciągnął dywan i rozpoczął modlitwę przed swoim łóżkiem. Trzeba spieszyć z powrotem do Żłóbka. Monsinior Duval, Biskup Konstantyny, ma rację błagać o przysłanie mu

pomocy do jego diecezji, gdzie byłoby tyle dobrego do zrobienia dla córek św. Wincentego!

Nazajutrz o świcie auto uniosło Najprz. Matkę z powrotem do Bony, by mogła wsiąść na samolot i polecić do Algieru, gdzie oczekiwana jest o godz. 11. Tym razem nie ma burzy, choć słońce jeszcze trochę zachmurzone, ale półtory godziny lotu prędko przechodzi. Lecimy raz nad morzem, to znów nad górami. Krajobraz zmienia się co chwila, domy z wysoka wyglądają jak małe, białe kamyki.

ALGIER

„Jeśli upadnę, Lalla Meyrien,
„Jeśli upadnę, wyciągnij twe ramię,
„Jeśli upadnę, Lalla Meyrien,
„Podnieś mnie!
„Jeśli śmierć przyjdzie, Lalla Meyrien,
„Jeśli śmierć przyjdzie pod moje kroki,
„Jeśli śmierć przyjdzie, Lalla Meyrien,
„Ty zabierz mnie".

(Tłumaczenie pieśni arabskiej).

Na lotnisku oczekuje Najprz. Matkę jakby gromada białych mew: jej Córki stawiły się na umówioną godzinę. Auto osobowe, dwa ciężarowe i jeszcze dwa czy trzy inne, zabierają wszystkich do stolicy Algieru. Oto dom Centralny w oazie zieleni, niedaleko od słynnej willi, gdzie 29 czerwca 1830 r., po zdobyciu Algieru, generał Bourmont zainstalował swoją główną kwaterę.

Zaraz po obiedzie przedstawianie *Domu Centralnego:* panie pensjonariuszki, młode internistki, skreślają historię domu i nadzieje co do jego przyszłości. Nazajutrz rano, Ks. Verges, Dyrektor Sióstr, odprawił Mszę św. w intencji Najprz. Matki. Na godzinę 8-mą udała się do biskupiego pałacu, gdzie oczekiwał ją już Ks. Biskup Leynaud, a następnie, w ulubionym od Algierczyków kościele Najśw. Panny Afrykańskiej, poleciła Matce Najświętszej wszystkie swoje córki i ich dzieła. Kościół położony jest na górze, a widok stamtąd jest wspaniały: bezmiar morza, a na niższych wzgórzach miasto Algier, całe białe. Blisko stamtąd jest Seminarium duchowne prowa-

dzone przez Księży Misjonarzy św. Wincentego. Najprz. Matka złożyła im krótką wizytę, poczym udała się na pielgrzymkę do grobli, na miejsce męczeństwa Jana le Vacher. Na murze gmachu admiralicji wmurowane są dwie płyty, na jednej z nich wyczytać można te słowa: „Ojcu Janowi Le Vacher, konsulowi Francji w Algierze, którego Turcy w 1663 roku zabili w tym miejscu, umieszczając go u wylotu armaty, podczas bombardowania miasta przez Duquesne”. Krótka to tylko wzmianka!... W niebie dopiero zobaczymy dzieło doskonałej miłości, jakim było życie tego pokornego Misjonarza!

Na obiad zebrały się do Domu Centralnego wszystkie Siostry Służebne miasta. Następnie, Ks. Dyrektor Verges odczytał w izbie Zgromadzenia sprawozdanie ze stanu Prowincji: bohaterskie początki na tej ziemi misyjnej zaraz po jej zdobyciu, rozwój dzieł: 43 Domy w pełnym rozwoju, potem cierpienia czterdziestu lat prześladowania, które przyprowadziły wiele do ruiny, wreszcie stan obecny różnych zakładów, który Najprz. Matka zobaczy, a który tak można streścić:

Pod względem terytorialnym: 12 domów w diecezji Algieru, 5 w dieceyji Konstantyny, 3 w Tunisie i 1 w Oranie. Co zaś do dzieł: 14 szkół katolickich, 2 duże szpitale, 1 przytułek, 4 kuchnie ludowe, 9 przychodni, 4 domy dziecka, 6 żłóbków i przedszkoli, 3 szwalnie lub szkoły gospodarcze, 5 burs, nadto odwiedzanie chorych i ubogich po domach i dzieła młodzieży jak: katechizacje, Dzieci Marii, Stowarzyszenie św. Ludwiki de Marillac, Dusze Waleczne i tp.

W *Sierocińcu Mustafa,* Najprz. Matka ma próbkę żywotności tych dzieł młodzieży, bo w obszernym tym domu, dawnym pałacu arabskim, dosyć jest miejsca dla zebrania wszystkich.

Najprzód dzieci domowe, przeszło 400, ustawiły sie na dużym, czworobocznym podwórzu, otoczonym ze wszystkich stron kolumnadą, dziewczynki z jednej strony, chłopcy z drugiej, i razem śpiewali z całego serca. Odczuwa się, że są szczęśliwe i swobodne. Dużo tych dzieci umieszczonych tu jest przez Opiekę Społeczną, to też p. Inspektor obecnym jest na tej uroczystości. Dzieci są różnych klas i różnego stanu, a niemały jest kłopot z ich utrzymaniem: ostatni rachunek za samo obuwie dla nich wynosił 375 000 franków! Na szczęście Opatrzność czuwa!

W sąsiednim podwórzu zebrały się Dusze Waleczne i Dzieci Maryi różnych Stowarzyszeń miasta. Te ostatnie przedstawiły swoje wysiłki apostolskie: one kierują Duszami Walecznymi, z nich składa się Stowarzyszenie św. Ludwiki de Marillac, one dają impuls Promieniowi Sportowemu, a przede wszystkim, kochają Najśw. Pannę, której życie przedstawiły w żywych obrazach! Mogą być dumne ze swych 22-ch Stowarzyszeń w pełnym rozwoju! W Domu Macierzystym zaniesiona jest modlitwa, by spełniło się ich pragnienie coraz ściślejszej łączności z innymi ugrupowaniami poświęconymi Maryi: „Niech będą jedno, Ojcze, jak Ty i ja jedno jesteśmy”.
Trzeba jednak opuścić całą tę młodzież pełną życia, bo poczciwe staruszki z Domu Św. Michała, pewnie się niecierpliwią... Po kolacji, w pięknym powinszowaniu zapewniły Najprz. Matkę, o swych modlitwach i ofiarach w Jej intencji. Najprz. Matka miała powrócić do nich przed odjazdem, by obejrzeć jeszcze piękną tę posiadłość...

Poniedziałek 20 lutego, dzień ten miał być bardzo zapełniony. Od godziny 8-ej pełen radości jest *Szpital Mustafa*, którego pawilony toną w egzotycznej zieleni. Naprzeciw kaplicy, chorzy na noszach, łączą się w śpiewie Magnificat, a fotograf, niskiego wzrostu, jak drugi Zacheusz, wspiął się na drzewo i usadowił się w wypróchniałym pniu, skąd góruje nad położeniem. Następnie zwiedzanie pawilonów; w jednym chore, samorzutnie umyśliły przedstawić Najprzew. Matce wnętrze algierskiego domu, wśród drzew pomarańczowych i krzewów mimozy: miękkie dywany, długie otomany, jak to czynią w swoich domach i zaczęły się tańce połączone z klaskaniem i muzyką, a wszystko zakończyło się głośnymi okrzykami „ju-ju”. Wiele jeszcze zostało do obejrzenia, ale Gubernator Generalny Algieru naznaczył godzinę przyjęcia o 10-ej, a Dyrektor Zdrowia miał również złożyć potem uszanowanie Najprz. Matce. Ten ostatni zwrócił się z życzeniem, by przedstawienie urządzone na oddziale Szpitala Mustafy zostało sfilmowane, jak, dodał, filmowane są objazdy Gubernatorów Generalnych. Wynikiem tego była druga wizyta w Szpitalu, tegoż dnia po południu, bez uszczerbku kolacji dnia następnego. Tak Opatrzność nie szczędziła pociechy dzielnym Sio-

strom pracującym w tym wielkim zakładzie, na co zresztą bardzo zasługują...

Przed obiadem w Domu przy ul. Saluste, Najprz. Matka udała się do *Zakładu Św. Bonawentury*, gdzie dzieci zapełniły podwórze, prawdziwy klomb żywych kwiatów...

Przy ul. Saluste jest dawny Dom Centralny, tam zatrzymała się najdłużej. Położony jest blisko tubylczej dzielnicy Kasbah, o wązkich, zatłoczonych uliczkach. Miejscowe przysłowie mówi, że „kto zamieszkuje Kasbah skraca dni swoje o połowę”. Ludność tybylcza bardzo się garnie do Domu Miłosierdzia, a zwłaszcza do przychodni. Otwarta jest także licznie przez dzieci uczęszczana szkoła, przedszkole, bursa dla studentek i przychodnia. Siostra Lafont, Siostra Służebna i Asystentka Prowincji, przedstawia to wszystko Najprzew. Matce, nie zapominając o Dzieciach Maryi, o Stowarzyszeniu św. Ludwiki de Marillac i o Promieniu Sportowym.

Powrót do szpitala dla filmu opóźnia trochę przyjęcie w Domu Bab-el-Ued, położonym w jednym z najludniejszych zakątków Algieru! Najśw. Panna Afrykańska przeniesiona tu została w osobie bardzo miłego dziewczęcia, która przybrała się w suknie umiłowanej od tutejszej ludności Najśw. Dziewicy i opowiedziała historię Domu i jego walki—jak zresztą wszystkich innych — by pozostać promieniującym i zdobywającym centrum Miłosierdzia. Rozdawanie cudownych Medalików o mało nie stało się powszechne dla całej dzielnicy, z racji drzwi które przez nieuwagę zostawiono otwarte. Niejeden skorzystał z tego, by wślizgnąć się dla otrzymania cennego medalika. Wszyscy tutaj bardzo kochają Siostry, które usiłują stać się „wszystkiem dla wszystkich, aby wszystkich pozyskać Jezusowi Chrystusowi”. Pozostawała jednak jeszcze do odwiedzenia Przychodnia, położona o kilka kroków dalej, a także Przedszkole, przed powrotem tego wieczora jeszcze do Sierocińca, na kolację.

Nazajutrz rano, auto zawiozło Najprz. Matkę do *Duera*. Napis skreślony dużymi literami na murze Szpitala-Przytułku zwraca uwagę. Jest to myśl Pasteura: „Nieszczęśliwego nie pyta się: z jakiego jesteś kraju, jakiej religii? Mówi mu się tylko: „Cierpisz... to wystarcza... Do mnie należysz i ja ci

ulgę przyniosę". Przytułek wierny jest tej zasadzie, dając schronienie pięciuset starcom obojej płci, bez różnicy rasy i religii; spokojnie kończą tu życie, wspierani w ostatniej walce przez nasze Siostry. Do jakiego stopnia dobre postępowanie świątobliwych Sióstr budzi szacunek dla religii katolickiej, dowodzi pośmiertne wspomnienie drogiej S. Mansart, która pracowała w Turcji, oto co tam piszą: „Wszyscy ją kochali. Kiedy przechodziła sale swego oddziału, chorzy podnosili głowy i twarze się rozjaśniały, całowali jej ręce spracowane na ich usłudze. Jeden z nich, muzułmanin, rzekł jej razu pewnego: „Ty na pewno pójdziesz do nieba. Ale gdyby się zdarzyło, żeby miejsca dla ciebie zabrakło, ja wstanę, żeby ci moje odstąpić. Nie chcę, żebyś stała za drzwiami".

W innej dzielnicy Algieru Siostry schylają się po macierzyńsku nad młodymi gruźlikami kostnymi, których brązowe postacie odbijają od białych prześcieradeł. Są to po większej części muzułmanie. Leżą długimi rzędami w jasnych salach i mimo ciężkich aparatów, jakimi są skrępowani, mimo przykrej pozycji i nieruchomości, miły uśmiech opromienia ich twarze: czują, że są kochani!

Aleja palmowa i biały dom z czerwonym dachem, taki jest zakład zwany *Kuba*, gdzie nasze Siostry mają internat dla dziewczynek. Podobnie wygląda *Dom Kwadratowy*, w którym Ks. Proboszcz przedstawia swoją parafialną rodzinę.

Hussein-Dey, najbliższe przedmieście, mocno przeludnione posiada również bardzo żywotny Dom Miłosierdzia: panie pensjonariuszki, dzieci szkolne, dzieci z przedszkola, wszyscy witają Najprz. Matkę, która żałuje tylko, że nie może dłużej pozostać... i obiecuje pamiętać, że dwie Siostry odwiedzające Ubogich są już niezdolne do spełniania swego urzędu, stargawszy swe siły wśród pracy.

Tenes daleko jest od Algieru, ale jeden dzień będzie mu poświęcony z racji jego dawności i... jego osamotnienia! We wtorek, 22 lutego, trzeba było trzech godzin jazdy autem, by się tam znaleźć.

Droga była wspaniała wzdłuż skalistego wybrzeża; niestety, pogoda była jeszcze niezbyt jasna... Auto wspina się na góry, niekiedy je okrąża. Od czasu do czasu widać sze-

ścian ustawiony z kamieni, przykryty małą kopułką, to grób jakiegoś muzułmańskiego świętego. Wszędzie mniej więcej spotyka się biedne lepianki z ziemi przyczepione do górskiego zbocza. Na odgłos jadącego auta, śmiałe kozy wdrapują się na prawie prostopadłe skały... zaś bociany przybyłe z Europy, stojąc na jednej nodze, patrzą spokojnie na przejeżdżających, nie ruszając się z miejsca. Im bliżej Tenesu, tym częstsze zakręty, oddalamy się od wybrzeża morskiego, by potem znów doń powrócić...

Tenes jest małym portem nad morzem Śródziemnym, w jednakiej odległości od Algieru jak od Oranu. Niegdyś była tu kolonia Fenicka, zajęta później przez Rzymian. Za czasów św. Augustyna było tutaj biskupstwo. Pozostało dużo ruin z tych dawnych czasów... Gdy Francuzi kraj zdobywali, miejscowość ta górzysta i skalista, była szczególnie trudna do opanowania. Skoro wybuchła cholera, zarząd wojskowy odwołał się do poświęcenia Córek Miłosierdzia. Plaga wkrótce ustała, Siostry jednak zostały i zajęły się szkołą. Siostra Gouazé osiadła na stałe w mieście z dwoma towarzyszkami. Zamieszkały dwa skromne, drewniane baraki, tuż obok żołnierzy, którzy byli ich strażnikami i nieraz podzielały ich żywność przynoszoną im z koszar. Umeblowanie ich i życie było zupełnie prymitywne i zdarzyło się nieraz, że jedyny garnek zawierający ich obiad, postawiony na trzech kamieniach, gdyż gotował się przy biwakowym ogniu, wywrócony został w chwili, gdy Siostra kuchenna, do której należało także uczenie czytać dzieci z Ochronki, przychodziła by ostatecznie doprawić i podać skromny posiłek. Opowiadają, że ta sama Siostra, najmłodsza w domu, chodziła co rano, o godz. 5.30 po mleko dla Zgromadzenia o 10 minut odległości. Znając niebezpieczeństwo, jeden stary marynarz, nic nie mówiąc nikomu, podjął się być jej stróżem i towarzyszył jej zawsze w przyzwoitej odległości... Kaplica Sióstr służyła wtedy za kościół parafialny i cała akcja miłosierdzia u Sióstr się koncentrowała. Nieraz powierzane im były żony oficerów, których mężowie byli na froncie i tak, swego czasu, świątobliwy generał de Sonis, przychodził tu po swoją żonę, którą śmiejąc się nazywał „siódmą Siostrzyczką", a którą tu zostawił podczas swych wypraw wojennych. Z czasem bowiem liczba Sióstr wzrosła. Ich osamotnienie było jednak bardzo przkre: by udać się do Algieru na rekolekcje roczne, czy to lądem, czy morzem, trudności było nie mało. By dostać się na okręt, musiała Siostra być przeniesioną do szalnpy na barkach silnego marynarza, wchodzącego do wody. Szalupę wysłaną dywanami wysyłał po nią kapitan, by mogła dostać się do okrętu stojącego na pełnym morzu. Droga lądowa nie była lepsza. By się dostać do najbliższej stacji kolejowej w Orleansville, trzeba było przebyć długą drogę dziką i niebezpieczną... Podróżowało się w kakolecie, to znaczy, że dwa specjalne kosze przewieszone były na grzbiecie muła albo wielbląda, w jednym koszu siedziała Siostra, a w drugim żołnierz prowadzący. Na noc zajeżdżano do karawanseraju

czyli gospody, gdzie trzeba było spędzić noc w przykrym bezładzie, ale wszystko znoszono ochotnie z miłości dla Boga i dusz.

Siostry były opatrznością kraju, zwłaszcza w ciężkich czasach, jak: epidemie i głód, mimo to jednak nie uszły prześladowania, gdy po zarządzie wojskowym nastąpił zarząd cywilny. Szkołę zamknięto Siostrom w 1912 roku... Siostry starały się utrzymać, ale skutki laicyzacji bardzo dały się odczuć. Wielką jest w tym zakątku obojętność religijna. Ks. Proboszcz walczy z nią jak może, z pomocą naszych Sióstr. Obecnie buduje piękny kościół, ale pomimo, że nie brak bogatych kolonistów i obszarników, brak funduszów na szybsze posunięcie budowy! Tymczasem Msza św. w niedzielę odprawia się w nędznej izbie, przypominającej ubóstwo stajenki betleemskiej!

O dwa kilometry od nowoczesnego miasta, „stary Tenes" zachował dawną, właściwą sobie postać. Mieszkają tam sami tubylcy, a Siostry nasze mają tę pociechę, że parę razy na tydzień udają się tam regularnie, aby ich obsłużyć. Gdy Siostry się zjawiają o godz. 2-ej dzwonią w duży dzwon: wtedy młode maurytanki, starannie zawualowane schodzą się do pracowni i biorą się do pracy przy dużych warsztatach służących do wyrobu dywanów, lub wyrabiają koronki z cienkich lnianych nici, do czego bardzo są zręczne. Rodziny okazują Siostrom wiele zaufania, gdy chodzi o naukę, a Siostry korzystają z tego, by nauczyć dziewczęta także zasad higieny i moralności! Niestety; nie może być mowy o tym by mówić o Bogu chrześcijańskim, ale można śpiewać ku chwale Maryi, którą muzułmanie znają i kochają, tylko nie uznają Jej Boskiego Macierzyństwa. Parę kroków dalej jast przychodnia, licznie uczęszczana... Żniwo mogłoby być ogromne jest 57 tysięcy muzułmanów w czternastu wsiach otaczających Tenes, a między muzułmanami spotyka się niekiedy piękne dusze!

Przybycie Najprz. Matki zapowiedziane było już w wilię, przy odgłosie bębna, a dzieci biegały wszędzie wołając: „Wielka marabuta przyjedzie!" Gdy się ukazała na placu, mufti (naczelnik wioski), oczekiwał ją osobiście, ubrany w najpiękniejsze swoje szaty. Przy pomocy drogowego, służącego za tłumacza, podziękował „w sposób bardzo zachęcający", za dobro czynione przez Siostry. Dwóch muzykantów, z których jeden bił w bęben, a drugi grał na piszczałce o bardzo przenikliwym dźwięku, wykonali najpiękniejsze kawałki ze swego repertuaru, otoczeni rojącym się tłumem mężczyzn i dzieci, chłopców w czerwonych, narodowych czapkach i dziewczynek w kolorowych sukienkach z włosami splecionymi w długi warkocz związany wstążką... Wszyscy skierowali się do pracowni i przychodni. Żaden z mężczyzn tubylców nie wszedł do środka. Mufti z wielką powagą poszedł w najdalszy kąt podwórza i usiadł na ziemi obrócony plecami do domu. Dziewczęta wewnątrz sal mają twarze odkryte, pokazywały swoje piękne

roboty i... o dziwo! zaśpiewały hymn do Maryi: „Bądź wśród nas Królową!” zwrócone do Najśw. Panny od Cudownego Medalika, zajmującej honorowe miejsce! Potem krótkie odwiedziny Przychodni, gdzie dokonuje się tyle dobrego i oto Najprz. Matka zaproszona jest do zwiedzenia meczetu. W wązkich, stromych uliczkach starego Tenesu tworzy się prawdziwy orszak, z muzyką na czele, bo gdy tylko Matka Nasza ukazuje się na ulicy, zaraz bęben i piszczałka zaczynają w najlepsze. Przodem szedł mufti, potem drogowy torował drogę w tłumie dzieciaków prześlizgujących się jak węgorze między starszymi osobami, piszcząc i popychając się... Najprz. Matka szła z Siostrą Wizytatorką i innymi Siostrami, za nimi doktór, aptekarz, dwóch Proboszczów i grupa innych dzieci. Widać było po drodze, jak kobiety uchylały drzwi i wyglądały ciekawie, szybko zamykając, gdy dostrzegły jaki burnus. Meczet położony jest na zboczu wzgórza i góruje nad całym miasteczkiem. Strażnik meczetu czekał przy drzwiach. Mufti wszedł, zdjął swoje obuwie na znak uszanowania dla miejsca modlitwy, ale nie żądał od Europejczyków, by to samo uczynili, tylko zamiast postępować główną nawą, wysłaną matami, orszak szedł nawą boczną i przeszedł trzy czwarte długości gmachu, do miejsca zagrodzonego drewnianą kratą. Jest to miejsce przeznaczone dla kobiet, o ile mężowie pozwolą im przyjść pokłonić się Allachowi. Świątynia jest zresztą zupełnie pusta, widać w niej tylko dwa sarkofagi „marabutów” (ludzi świętych), czczone przez tubylców. Pozwolenie udzielone Najprz. Matce i towarzyszącym jej osobom na wejście do meczetu, jest znakiem wielkiego zaufania i szacunku, ale jakże to smutno widzieć tyle dusz dobrej woli, tak ślepo przywiązanych do swoich błędów!

Nazajutrz rano o wschodzie słońca, muzzein krzyczał na całe gardło wezwanie do modlitwy: sześć razy na dzień śpiewa tak ochrypłym głosem, rozlegającym się daleko. „Tylko w samym środku lata on nas wyprzedza w chwaleniu Boga powiedziała z prostotą Siostra Służebna, bo przez resztę roku zaczynamy nasze modlitwy przed tymi biednymi ludźmi, dzięki wstawaniu o 4-ej”. Wprost naprzeciw Domu Miłosierdzia jest mała szkółka koraniczna, gdzie przez 3 lub 5 lat mali muzułmanie uczą się Koranu, pisma arabskiego i karności, co im

nie przeszkadza odbywać także nauki według systemu francuskiego i zdobywać maturę! Wprowadzono tu już wielką nowość, że dziewczynki zaczynają chodzić do szkół, ale jakżeby potrzeba, aby ta świecka nauka mogła być połączona z prawdziwym „wykształceniem”... Życzenie to powierzamy Bogu, Ojcu Ubogich!

We czwartek, 23-go, Najprz. Matka pojechała do Perregaux. Krótki przystanek w Orleansville pozwolił jej pomodlić się w katedrze tego miasta, gdzie niegdyś Siostry nasze pracowały. Droga dotąd górzysta przechodzi w równinę nawodnioną i starannie uprawioną. Całe przestrzenie pokryte są drzewami pomarańczowymi i cytrynowymi o złotych owocach, sadzone na przemian z karczochami. Na skarpach i stromych zboczach aloesy i kaktusy wyciągają swoje kolczaste, wązkie latorośle. Tylko w ogrodach widać palmy chwiejące się za najlżejszym powiewem... Perregaux posiada 28000 mieszkańców, z nich 8000 Francuzów i Siostry mają tu piękne pole działania. Są tu dopiero od półtora roku, a już pozyskały sobie wszystkie serca, jak tego dowodzi przemiły „Przegląd” parafii o rozmaitych dziełach: Przedszkola i różnego rodzaju kółka zawodowe i rozrywkowe, zaś do przychodni miejskiej przychodzą licznie Arabowie, przeważnie dla chorób ocznych. Brak tylko robotnic, by można było regularnie prowadzić odwiedzanie chorych po mieszkaniach...

Chociaż nie ma jeszcze Sióstr Miłosierdzia w Oranie, jednak na zaproszenie Ks. Biskupa i Księży Misjonarzy prowadzących Seminarium diecezjalne, Najprz. Matka na tym dużym mieście zakończyła swój objazd Afryki Północnej. Ks. Biskup zaraz zaproponował zainstalowanie Sióstr w dwóch parafiach liczących 25.000 dusz, a gdzie nie ma żadnego Zgromadzenia, któreby nad nimi pracowało! Ks. Proboszcz jednej z tych parafii chciał nawet zaraz pokazać duży dom gotów na ich przyjęcie. Dzieci Maryi także dołączyły swoje błagania... Och! jakże cisną się do serca te słowa Pana Jezusa: „Żal mi tego ludu... Żniwo jest wielkie...”

W Seminarium wszyscy Księża byli obecni dla przyjęcia Najprz. Matki, a klerycy odśpiewali pięknie Magnificat, potem nastąpiły inne śpiewy i przemówienia powitalne. Matka Nasza obiecała, że poniesie ich wspomnienie do Serca św. Wincen-

tego, by wszyscy zostali świętymi kapłanami, zdolnymi zdobywać Chrystusowi liczne dusze tej obszernej diecezji.

Trzeba było myśleć o powrocie do Algieru. Tym razem Najprz. Matka pojechała koleją, a nazajutrz o świcie odleciała do Domu Macierzystego. Przedstawiciel Rządu łaskawie użyczył Siostrom do dyspozycji jeden ze swoich wielkich autobusów, by mogły zobaczyć raz ostatni i pożegnać Tę, która nie licząc się ze zmęczeniem, przez dwanaście dni oddawała im najlepszą cząstkę swego serca, bardziej jeszcze zacieśniając więzy, łączące wszystkie członki maluczkiego Zgromadzenia. W Kaplicy Objawienia, Najprzew. Matka powierzyła Dziewicy Niepokalanej swoje podziękowanie za serdeczne względy, jakimi ukochane Jej córki otoczyły Ją w Algierze i Północnej Afryce, a teraz nie przestaje powtarzać Pannie Możnej modlitwy, by raczyła wzbudzić prawdziwe powołania, według Serca Bożego i serca św. Wincentego, dla ratowania tylu Ubogich, którzy tej pomocy oczekują i ufają, że ukochane kornety nauczą ich kochać Najmilszego Jej Syna Jezusa!

Z OCEANII.

Dnia 24 października 1931 roku, na żądanie Ks. Biskupa de Backer, 4 Siostry Miłosierdzia posłane zostały na Jawę, jedną z wysp Sundskich.

Pierwsze dzieło, jakie im tam powierzone zostało, był dom dla biednych dzieci, wałęsających się po ulicach Soerabaja. Wkrótce około 200 chłopców różnego wieku i różnej religii stały się „cząstką ich dziedzictwa w winnicy Pańskiej".

W roku 1934 powstał drugi dom w Kediri, gdzie otwarto szkołę holenderską, a wkrótce potem szkołę gospodarczą, która liczyła około setki uczennic z pomiędzy dziewcząt tubylczych. Siostry uczyły ich najważniejszych rzeczy, jakie znać powinna kobieta, aby być dobrą matką rodziny.

Do tego dochodziło odwiedzanie wiosek jawajskich, gdzie udawała się Siostra pielęgniarka, dla niesienia pomocy ubogim: wiele osób dotkniętych było rodzajem bardzo zaraźliwego trądu i groźnymi chorobami oczu. Ten ambulans oddawał biedakom wielkie usługi...

Przyszła wojna i wszystko zniszczyła. Teraz jednak wszystko na nowo zaczyna wracać do życia. Najprzew. Matka otrzymała w tym czasie bardzo ciekawy list od Siostry Van de Laak, z wiadomościami o czterech nowych misjonarkach, które pojechały na Jawę we wrześniu 1949 roku:

Dżalan Raja 47, Kediri-Indonesia. 8 kwietnia 1950 r.

Najprzewielebniejsza Matko!

Łaska Pana Naszego niech będzie zawsze z nami!

...Siostra Wizytatorka z Holandii zapewne zawiadomiła już Najprz. Matkę, że przybyłyśmy szczęśliwie do Kediri. Stanęłyśmy tutaj 5 stycznia i zamieszkałyśmy u dobrej katolickiej rodziny na jakie dwa tygodnie. Potem Komendant Wojskowy dał nam dom dla nas samych, ale, niestety! był niemożliwy do zamieszkania, ponieważ przez kilka lat kwaterowali w nim żołnierze. Trzeba było przerobić tę stajnię na dom mieszkalny...

Obecnie małe nasze Zgromadzenie liczące pięć Sióstr już się zainstalowało i mamy śliczną kapliczkę, w której jeden z naszych Księży Misjonarzy odprawia codziennie Mszę św. Trudności nie brak w kraju, gdzie wojna dopiero co została ukończona i gdzie musimy pracować w warunkach zupełnie odmiennych od tych, jakie miałyśmy niegdyś.

Tutaj w Kediri, w centrum Rzeczypospolitej Indonezji, mało jest katolików, a tysiące pogan i mahometan. Nasza szkoła, której budowa w chwili rozpoczęcia wojny była na ukończeniu, zajęta jest teraz przez dwie inne szkoły i nasze Siostry zmuszone są dawać lekcje popołudniu, od godziny 3 do 6-ej. Większość naszych uczennic, to są dzieci chińskie. Rano, w naszym małym domku Siostry udzielają lekcji poszczególnym dzieciom mówiącym po holendersku, aby im dopomóc. Największą trudność stanowi to, że Siostry nie znają języka krajowego. Europejczyków nie ma tu prawie, a większość Jawańczyków i Chińczyków mówią tylko po malajsku. To też głównym naszym zadaniem jest nauczyć się go jak najprędzej...

Wiele jest pracy dla misjonarzy i dzieło ich jest trudne, ale w tej chwili w Rzeczypospolitej panuje pokój i zostawiają nam swobodę, ale nasza szkoła elementarna dla Chińczyków nie otrzymuje subsydium od Rządu.

Wiele mamy powodów dziękowania Panu Bogu, gdyż widocznie błogosławi nasze przedsięwzięcie, i mimo bardzo niepewnych widoków, dzieła nasze postępują. Nie obawiam się o przyszłość, byle tylko Siosty, mimo swego ciężkiego zadania, utrzymały się przy zdrowiu i przystosowały się do podzwrotnikowego klimatu. Trzeba się także przyzwyczaić do osamotnienia, bo nie często mamy tu jakieś wiadomości o innych dzieciach św. Wincentego...

ECHO DOMU MACIERZYSTEGO

Czerwiec 1950 r.

SŁOWO OD PRZEŁOŻONYCH
(Najczcig. Ojca Dyrektora)

DUCH NADPRZYRODZONY I TOWARZYSZKI

MIŁOŚĆ

„Przypatrzywszy się korzyściom Miłości wiernie praktykowanej, trzeba zobaczyć smutne skutki wynikające z jej braku...” Tak było zakończone ostatnie „słowo” traktujące o tym przedmiocie.

Pomówmy dziś zatem o tych „smutnych skutkach”.

Zaznaczę w szczególności trzy, wybrane z pomiędzy tych, które słusznie uznane zostały za najważniejsze i najboleśniejsze:

1. Wielkie rozczarowanie.
2. Wielkie cierpienie.
3. Wielka pokusa.

* * *

Wielkie rozczarowanie.

Jest to fakt, że kiedy się zaczyna marzyć o życiu w Zgromadzeniu, tworzy się sobie zwykle bardzo piękny obraz, ideał bardzo wzniosły.

Łatwo sobie wystawić, że osoby żyjące tym życiem, o ile nie zwyciężyły już zupełnie, to przynajmniej nabrały przyzwyczajenia do opanowywania złych skłonności swej ludzkiej natury; że zdołały już oswobodzić się od wszelkiej ciasnoty, niskich zawiści, nikczemnych zazdrości, do jakich, przyznać to trzeba, charakter kobiecy jest specjalnie skłonny; że ich dusza przerobiona łaską wyborowego powołania, jaką zaszczycona została, jak również życiem pobożności i obowią-

zującej je cnoty, nie może poddawać się pewnym pożałowania godnym słabościom ludzkiej natury.

Osoby trochę mniej optymistycznie patrzące i przypuszczające, że pod welonem czy kornetem mogą się czasem znaleźć nędze właściwe ludzkiej naturze, spodziewają się przynajmniej, że znajdą dusze prawdziwie wspaniałomyślne, szczerze dążące do doskonałości, mężnie i energicznie walczące ze swymi wadami, zadające sobie nieustannie gwałt, by się nie dać uwieść swym złym skłonnościom, pracujące zwłaszcza ze szczególnym staraniem nad praktykowaniem cnoty najgłówniejszej ze wszystkich, cnoty tak drogiej Sercu Boskiego Mistrza i tak usilnie przez Niego zalecanej, cnoty będącej zasadniczą podstawą religii chrześcijańskiej i wszelkiego życia doskonałego, cnoty, która w sposób specjalny jest duszą życia w Zgromadzeniu, tam zatem bardziej niż gdziekolwiek indziej panować powinna wszechwładnie: cnota MIŁOŚCI.

Przypomnijcie sobie, moje najdroższe Siostry, swoje osobiste doświadczenie.

Kiedy przed waszymi olśnionymi oczami młodego dziewczęcia, po raz pierwszy na horyzoncie waszego życia ukazał się biały kornet Siostry Miłosierdzia, a w duszy pełnej radości i wdzięczności posłyszałyście słodki głos Mistrza mówiący wam cichutko: „Ten kornet twoim będzie kiedyś; przyjdzie dzień, kiedy ty również będziesz moją Córką Miłosierdzia", czyż nie prawda, że wtedy zaraz ukazało wam się wasze przyszłe życie w Zgromadzeniu: życie pięknego poświęcenia, prawdziwie całkowite oddanie się na służbę dusz, to prawda, ale także życie pełne uprzejmej dobroci i delikatności wzajemnej, życie szczerej prostoty, serdeczne, pełne miłości, jednym słowem prawdziwie siostrzane, prawdziwie „życie rodzinne" z innymi duszami dążącymi również do tego wzniosłego ideału, a które nazywać będziecie „siostrami", bo rzeczywiście będą nimi w całej pełni.

...Takie jest piękne marzenie miłośnie w głębi duszy pieszczone!

...I wstępuje się do Zgromadzenia... A oto już na postulacie, lub może w pierwszych dniach po przybyciu do domu

po obłóczynach, gdy serce jeszcze całe jest przejęte dobrymi i pięknymi naukami Seminarium, dusza pragnie tylko wprowadzić je w życie, przekonana że znajdzie zachęcające do tego przykłady, a oto z niedowierzaniem spostrzega, że między tą i ową Siostrą jest jakiś chłód, nie mówią do siebie i nie chcą nawet na siebie patrzeć, albo może patrzą w taki sposób, że to daje wiele do myślenia, lub przemawiają do siebie z takim brakiem miłości, że mowa ich straszliwie odbija od kornetu i nazwy jaką noszą. Niekiedy może się zdarzyć gorzej jeszcze, oto przemawiają do siebie z okazji jakiejś trudności, jakiegoś starcia, wzajemnego nieporozumienia, najczęściej chodzi o bagatelkę bez znaczenia, a jakże mówią, o Boże! Z jakim uniesieniem, złością, niekiedy używając wyrażeń, jakich niktby się nie spodziewał na ustach Siostry Miłosierdzia!... Och! przykre to i bolesne uświadomienie! przykre i bolesne rozczarowanie biednej postulantki czy młodej Siostrzyczki!

Gdzież więc jest piękne marzenie tak długo i tak słodko wyśnione, o życiu cichym, pełnym dobroci, serdeczności, miłości, o życiu prawdziwie rodzinnym, w którym by się odczuwało jakby przedsmak Nieba? Jakaż różnica i jakaż smutna różnica pomiędzy marzeniem a rzeczywistością! różnica tym silniej odczuta, tym boleśniejsza, im piękniejsze było marzenie i im prędsze i brutalniejsze było rozczarowanie!

Gdzież jest ten piękny ideał upatrywany przed wstąpieniem, o duszach „Sióstr" prawdziwie kochających się wzajemnie, starających się zawsze sprawić sobie przyjemność, oddać usługę, podtrzymywać się, bronić, uwydatniać wzajemnie swoje wartości, starannie przemilczając słabe strony, a chętnie opowiadając zalety i cnoty jedna drugiej.

Gdzież są ci „aniołowie", z jakimi wyobrażano sobie, że odtąd żyć się będzie! „Aniołowie" więźniowie i ofiary ziemskiej powłoki, zapewne, dobrze się o tym wiedziało, ale przynajmniej — myślano — pracujący rzeczywiście, wspaniałomyślnie, nad „wyanieleniem się", a wyzbyciem się coraz bardziej ludzkich ułomności, a zwłaszcza tej nędzy będącej skutkiem ludzkiego skażenia, tak przeciwnej duchowi chrześcijańskiemu, zwłaszcza zakonnemu, a która się nazywa niezgoda, rozdwojenie, waśnie.

Och! tak jest, kiedy zaraz po wstąpieniu swoim do Zgromadzenia, biedna postulantka czy biedna młoda Siostra świeżo wyszła z Seminarium, napotka w domu, do którego jest posłana, tego rodzaju nędze, jakiż to straszny dla niej zawód, jakie rozczarowanie!... I cóż dziwnego, że pod wpływem bolesnego zdziwienia i głębokiej przykrości, gdy widzi swój ideał tak brutalnie zniszczony, swoje piękne marzenia tak okrutnie rozwiane, że niekiedy dochodzi do cichego szemrania, albo nawet głośno wypowie: „To więc takie jest życie w Zgromadzeniu! Nie, nigdy nie pomyślałam, by tak być mogło!" — „Ach! gdybym była wiedziała!"

To „gdybym była wiedziała!" ta straszna, a zbyt częsta konsekwencja braku Miłości w Zgromadzeniu, obyście jej, moje najdroższe Siostry, nie były nigdy wyrzekły, dzięki doskonałej miłości panującej szczęśliwie we wszystkich domach, gdzie byłyście umieszczone!

Ale bardziej jeszcze, oby Bóg dał, abyście dzięki miłości, jaką starałyście się zawsze promieniować, choćby kosztem największych ofiar i wysiłków, abyście we wszystkich domach, gdzie byłyście umieszczone, nie dały nigdy żadnej Siostrze sposobności do wypowiedzenia tych słów!

Gdybyście same miały były kiedy sposobność do ich wypowiedzenia, byłybyście tylko biednymi ofiarami godnymi politowania ludzi i Miłosierdzia Boga; ale gdybyście innym dały sposobność do ich wyrzeczenia, byłybyście naprawdę winne i ciężko odpowiedzialne przed ludźmi i przed Bogiem, za to okrutne rozczarowanie, jakiego stałyście się powodem!

Wielkie cierpienie.

Wstępując do Zgromadzenia, ogólnie biorąc, jest się przygotowanym na rozmaite cierpienia: cierpienie ciała, wiadomo, że zawsze się jest wystawioną na niedomagania, na kalectwa, na choroby; cierpienie duszy, łatwo przewidzieć, pod wpływem tego czy owego doświadczenia, przez jakie podoba się Bogu przeprowadzać miłe sobie dusze; cierpienie długotrwałego wysiłku, jaki zadać sobie trzeba, by dostosować się do powołania, do Świętych Reguł, cnót i pobożnych zwyczajów Zgromadzenia; cierpienie trosk, przykrości, prze-

ciwności, trudów i zmęczenia, wypływających z urzędu, którym się jest obarczoną.

Nie tylko oczekuje się tego cierpienia, ale się je uważa, za rzecz normalną i dziwionoby się, gdyby się go nie spotkało. Rzeczywiście, jeżeli się przychodzi do Zgromadzenia, to wszakże na to, „by zupełniej oddać się Bogu", a na to, by „się oddać", trzeba z konieczności sprzeciwić się sobie, poświęcić się, cierpieć. Czyż nie po to wstępuje się do Zgromadzenia, by lepiej naśladować Boskiego Mistrza, a Boski Mistrz czyż nie jest wielką „Ofiarą" wielkim „cierpiącym"? Czyż nie dlatego wstępuje się do Zgromadzenia, by się uświęcić, a poświęcenie, cierpienie, czyż to nie jest kowadło, na którym Bóg podoba sobie wykuwać dusze swych Świętych? Czyż nie po to wstępuje się do Zgromadzenia, by zbawiać dusze, jak najwięcej dusz, a od czasu Kalwarii, cierpienie, Krzyż, krew, są to wielkie narzędzia Odkupienia.

Ale jest jedno cierpienie, którego dusze nie spodziewają się spotkać w Zgromadzeniu; nie chciałyby nawet wierzyć, gdyby ktoś chciał je przed nim przestrzegać. To cierpienie nie jest zapewne z bezpośredniej woli Bożej, nawet zupełnie jest przeciwne Jego zamiarom i „Jego przykazaniu", cierpienie pochodzące z braku miłości! Cierpienie to jest specjalnie bolesne, najboleśniejsze może ze wszystkich, jakie napotkać można w Zgromadzeniu, tym boleśniejsze, że niespodziewane.

Może jaka kandydatka żyła dotychczas na łonie zacnej rodziny gdzie wszyscy, bracia i siostry, dokoła ojca i matki żyli spojeni wzajemnie serdeczną miłością... Pewnego dnia trzeba było wyjawić, że myśli o odjeździe, że wkrótce opuści rodzinę. Może ojciec lub matka, na myśl o przewidywanych ofiarach, szepnęli z cicha: „Biedne dziecko, ileż będziesz musiała cierpieć!" Ona zaś odpowiada z całym zapałem i przekonaniem swego serca: „Cierpieć będę, zapewne, a nawet dlatego właśnie pragnę wyjechać, by cierpiąc więcej, więcej też zebrać zasług. Ale to cierpienie będzie mi tak osłodzone! Nie wątpię, że się jest bardzo szczęśliwą w Zgromadzeniu, tak się tam wszyscy kochają! Jakże to miło żyć z innymi duszami dążącymi do tego samego ideału, zmierzającymi do takiej samej doskonałości, starającymi się umilać sobie wza-

jemnie życie, mając to największe pragnienie, by się nawzajem uszczęśliwiać! Nie obawiajcie się więc o mnie: w Zgromadzeniu odnajdę rodzinę, wielką rodzinę, gdzie mnie zawsze kochać będą..." I wyjeżdża! Przybywa do postulatu... do Seminarium... do wyznaczonego sobie domu!

A jeżeli tam, na nieszczęście, napotka towarzyszki mające zbyt mało serdeczności; jeżeli w kilka zaledwie dni po przybyciu słyszy obmawianie jednej, przyganianie drugiej, oburzanie się na trzecią; jeśli ze smutkiem spostrzeże, że te czy owe Siostry żyją w niezgodzie, że sprzeczają się między sobą, podlegają zazdrości; gdy co więcej zobaczy, że sama jest celem krytyki, obmowy, oszczerstwa, jakich niskich zawiści, fałszywych doniesień, że traktowana jest niegrzecznie, zimno, surowo, może nawet wprost złośliwie, wtedy, och! wielkie to cierpienie godzące w samo serce i zadające ranę, która się może nigdy nie zagoi.

Ileż to już razy miałem sposobność to stwierdzić! Od wielu już lat przyjmuję zwierzenia Sióstr Miłosierdzia i wiele ich widziałem płaczące. Jedne płakały z żalu i bólu na myśl o nędzach, jakim niekiedy podlegają, co im nasuwa przypuszczenie, że nie dosyć kochają Pana Boga; inne płakały z powodu trudności napotykanych w Zgromadzeniu, z którymi nie umiały sobie poradzić; inne widziałem płaczące na skutek surowego upomnienia, jakie otrzymały od swej Siostry Służebnej; to znowu widziałem płaczące dla zmiany domu, którego opuszczenie wiele je kosztowało; widziałem łzy wylewające po otrzymaniu patentu Siostry Służebnej, gdyż sądziły się niezdolne do przyjęcia tak ciężkiej odpowiedzialności; ale przyznać także muszę, że widziałem płaczące i to nie jedną, że nie znalazły w swoim domu, przynajmniej u niektórych towarzyszek, tej miłej i uprzejmej serdeczności, jaką spodziewały się napotkać w Zgromadzeniu, że niekiedy zamiast wymarzonej miłości znalazły oziębłość, obojętność, może nawet niechęć, zazdrość, antypatię, jeżeli nie — ach! powiedzmy to wyraźnie — pozytywną złośliwość.

Tak jest, widziałem już wiele łez płynących z ócz Sióstr Miłosierdzia! Nie waham się powiedzieć, że z tych wszystkich łez, najczęstsze, najobfitsze, najbardziej gorzkie, wylewane

były z powodu braku miłości. A jakże głębokie i okrutne cierpienie wyrażało się w tych niepodobnych do powstrzymania szlochach, w tych twarzach ściągniętych bólem, a zwłaszcza w tych słowach tak przykrych do wymówienia, ale, wierzcie mi, nie mniej przykrych do wysłuchania: „Ach! mój Ojcze, nie wiem jak jest w innych domach, ale u nas, nie ma miłości!”

Dzięki Bogu, spieszę dodać, taki brak miłości nie jest rozpowszechniony; jest to przede wszystkim, wpływ kilku biednych dusz rozrzuconych tu i ówdzie, — bo przecież trzeba znaleźć im miejsce gdziekolwiek! — Siostry Miłosierdzia, które nigdy nie miały, czy też zbyt prędko straciły ducha swego powołania... ale te (kilka) są jeszcze nazbyt liczne, zwłaszcza w Zgromadzeniu tak specjalnie poświęconym dziełom Miłości, „Caritas urget nos”, i którego wszystkie członki, bez żadnego wyjątku, powinny mieć na sercu, by w swych stosunkach z innymi rywalizować w słodyczy, delikatności, uprzejmości, dobroci! (d. c. n.)

Paweł Castelin Dyrektor.

Przylgnąć do Chrystusa.

Przez nasze powołanie wezwane do szukania Chrystusa w naszych braciach, do dawania Chrystusa tym braciom, którzy Go nie znają, do pielęgnowania Chrystusa w Jego cierpiących członkach, znajdujemy się często w bardzo trudnych położeniach, wobec litość wzbudzających dramatów, wobec nędzy bez wyjścia, wobec zadań niemożliwych do rozwiązania.

Czego nam potrzeba, nam, które jesteśmy na świecie nie należąc do świata? Oto potrzeba nam wiary tryumfującej nad światem, wiary, która jest naszym zwycięstwem nad światem, naszym światłem i naszym bezpieczeństwem.

Dlatego przylgnąć powinnyśmy do Chrystusa niezmordowanie i niewzruszenie:

— *przylgnąć do Jego nauki* tak potężnej i tak prawdziwej;
— *przylgnąć do Jego słowa* tak poważnego i tak głębokiego;
— *przylgnąć do Jego przykładów* tak pociągających i tak skutecznych;
— *przylgnąć do Jego życia* tak owocnego i tak jaśniejącego;
— *przylgnąć do Jego woli* przez pokorne przyjęcie;
— *przylgnąć do Jego ofiary* przez przyłączenie naszej własnej;
— *przylgnąć przez wiarę* w Objawienie Ewangelii, w Kościół, który przemawia w imieniu Chrystusa...

* * *

Przylgnąć całkowicie do Słowa, do tego Słowa jedynie zdolnego nas oświecać, wzmacniać i żywić. Żyć Jego nauką, bo przez nią utrwala się nasza wiara chrześcijańska. Żyć Ewangelią: to żyć Chrystusem, który do nas przemawia, który nas naucza, On, Prawda odwieczna i niewzruszona, On jeden nie odmienia się, nie błądzi, nie zwodzi. Kto znalazł Chrystusa, znalazł Życie, radość, Prawdę, siłę i Miłość.

Zatem całą duszą powinnyśmy przylgnąć do tego nieśmiertelnego, twórczego Słowa, które nam objawia prawdę, uświęca nas, pociesza. Przylgnąć, to całą siłą swej woli zjednoczyć się z tą przetwarzającą potęgą, jaką jest Słowo. Boska nauka Prawdy, której żaden błąd nie może dosięgnąć. Żadne słowo Boże nie pozostanie bez skutku. „Niebo i ziemia przeminą, ale moje słowa nie przeminą”, powiedział Pan Jezus.

* * *

Przylgnąć do zasad ewangelicznych, to zbawienie, to doskonałość. To jest także droga, jaką postępować winnyśmy, odkąd wstąpiłyśmy na wązką ścieżkę z postanowieniem przejęcia się całkowicie myślami i uczuciami Chrystusa, by ściślej z Nim się zjednoczyć. Ale Boski Mistrz nam powiedział, że nie wystarcza, by ziarno upadło na powierzchnię ziemi, trzeba, aby weszło głębiej w brózdę dla niego przygotowaną, aby zagrzebane zostało w roli, która je przyjęła, trzeba, by tam zamarło, wyniszczyło się dla wydania owocu. Tak samo potrzeba, aby umysł nasz przygotowany przez cichą pracę modlitwy, otwarty na światło Boże przez rozmyślanie, przyjmo-

wał w swoim czasie słowo Boże, by żyć nim skutecznie. Oby przeniknąć mogło do dusz naszych, jak niegdyś do duszy Maryi, by w nich zagubić się i uczynić je owocnymi.

* * *

Przylgnąć do Chrystusa, do Jego życia, przez łaskę i przez Sakamenta. Jest to jeszcze podstawa wzrastającej świętości, która rozwinie się wtedy, „gdy wszystko, co jest w nas śmiertelne" przejdzie w Niego, by się przyoblec chwałą. To przylgnięcie do Chrystusa, słabe jeszcze, chociaż rzeczywiste w sakramencie Chrztu, podlega różnemu losowi. U wielu, nie dochodzi do rozwoju, jakiby mieć powinno, oddalając się od swego źródła traci swoją moc i niekiedy zupełnie wysycha. Jest to dar Boży wzgardzony, uczyniony niepożytecznym, jest to strata niepowetowana. Ale dla nas, Córek Miłosierdzia, ta łaska Boża rozlała się i rozszerzyła potężnie, a w sakramentach napotkała rzeki żywota, w powołaniu znalazła wylew życia nadprzyrodzonego, wzmogła się naszymi ponawianymi ofiarami, które zwiększy stokrotnie jej żywotność i jej działanie. „Nic nie może odłączyć nas od Chrystusa!" Bylebyśmy uważne były na łaskę, bylebyśmy umiały przyjmować ją i jej wiernie odpowiadać, choćbyśmy musiały na to odpychać napaści natury, całym wysiłkiem i dzielnością naszej woli.

* * *

Przylgnąć do Chrystusa przez ścisłe złączenie myślą i uczuciem, a zwłaszcza, by nigdy nie mieć innej woli nad Jego wolę. Jest to doskonałe przylgnięcie duszy, która nie ma innych dążeń, innych zainteresowań, jak tylko Umiłowanego i zdaje się całkowicie na Jego wolę, przyjmując wszystkie wymagania Reguły, w duchu najwyższej miłości.

Brak przylgnięcia do Chrystusa wywołuje zawsze pewne załamanie się życia duszy. Odczuwa brak światła, brak energii życiowej. Tylko przez Niego możemy cośkolwiek dokonać. Jeżeli tracimy styczność z Jego potęgą odczuwamy żywo naszą bezsilnośc, a stąd zniechęcenie, które gnębi dzisiaj dusz tyle.

Poweźmijmy więc postanowienie, by przylgnąć na stałe, silnie do Chrystusa i nigdy nie rozluźniać, nie zrywać tego

związku, jaki z Nim mieć musimy, by nie chwiać się, nie wahać, nie drżeć przed surowością i wymaganiami naszego ukochanego powołania.

Ustalić się mocno w Bogu, to zapewnić sobie prawdziwe światło, radosne, pocieszające, miłe światło, to, które my, promieniować mamy jak latarnia morska. Czyż podróżującym wśród świata nie powinnyśmy wskazywać niebiański horyzont, ten port, gdzie trzeba lądować po niebezpiecznej żegludze, by dostać się do Domu Ojca?

Przylgnąwszy do Boga nie będziemy nigdy rozbitkami miotanymi falami, ale silnie w Nim umocowane znajdziemy zawsze siłę iść za Nim, nie targując się o drogę, jaką postępować mamy. On będzie zawsze potężnym naszym Przewodnikiem i Obrońcą, a w trudnych chwilach wesprze nas i pociągnie za sobą tam, gdzie chce, abyśmy z Nim były, rozradowane, olśnione w tej wiekuistej Miłości, gdzie On będzie wszystkim, we wszystkim, na zawsze.

Siostra Maria-Antonina Blanchot

350-LECIE
ŚWIĘCEŃ KAPŁAŃSKICH ŚW. WINCENTEGO A PAULO
W CHATEAU-L'EVEQUE
(7 maja 1950 r.)

Spokojna osada Château-l'Evêque przeżyła dzień wrażeń i uroczystości. Od pierwszych dni maja reperowano główną ulicę i aleję prowadzącą do stacji kolejowej. W domu Sióstr robiono także wielkie porządki, bo rozeszła się pogłoska, wkrótce zamieniona na pewność, że Najprzew. Ojciec ma przyjechać.

Przybył rzeczywiście. Dnia 7 maja o godzinie siódmej rano, w tym cichym kościele, gdzie przed trzystu pięćdziesięciu laty św. Wincenty wyświęcony był na kapłana, następca św. Wincentego odprawił Mszę św, otoczony wieńcem białych kornetów. Jakże to było wzruszające przyjąć Komunię św.

z rąk Najprzew. Ojca, klęcząc na tych samych płytach kamiennych, na których swego czasu klęczał św. Wincenty!

Po Mszy św. Najprzew. Ojciec przyszedł do Sióstr, by je odwiedzić i pobłogosławić. Udał się potem do infirmerii, zatrzymywał się przy każdym łóżku, by powiedzieć dobre słowo, udzielić błogosławieństwa i zostawił nasze drogie chore zachwycone jego ojcowską dobrocią.

Tymczasem zbiera się tłum cały. Jedni koleją, inni autobusem, samochodami, rowerami, czy poprostu piechotą. Panowie z Konferencji św. Wincentego stawili się licznie. Wszyscy zmierzają do wspaniałego parku, gdzie odbędzie się cała uroczystość. Ołtarz wzniesiony jest w głównej alei, wysadzonej stuletnimi drzewami. Ksiądz Biskup z Perigueux zaczyna Sumę, śpiewaną przez Seminarzystów z Seminarium duchownego. Naprzeciw tronu ustawionego dla Biskupa, jest miejsce przygotowane dla Najprzew. Ojca i towarzyszących mu Księży Misjonarzy. Po Ewangelii Ks. Houfflain, Superior z Dax wygłosił kazanie. Głośniki roznoszą jego słowa po całym parku. Wysławiał św. Wincentego jako wzór kapłana; tłumaczył potrzebę chrześcijańskiego kapłaństwa i przedstawiał obowiązki ludzi świeckich, zwłaszcza rodziców, względem kapłaństwa.

Po Mszy św. tłum się rozprasza, wszyscy cieszą się i rozkoszują pięknością wiejskiego położenia. Najprz. Ojciec u swych córek przyjmie posiłek wraz z Ks. Biskupem, Misjonarzami i innymi kapłanami przybyłymi na tę uroczystość. Siostry zaś, zebrane przy obiedzie, wzdychają: „Jaka szkoda, że Najprzew. Matka nie przyjechała, byłoby to uzupełnienie uroczystości!"

O godzinie 4-ej zebranie w kościele, zbyt małym na pomieszczenie całego tłumu. Wszyscy oddają cześć relikwiom św. Wincentego. Najprzew. Ojciec udzielił błogosławieństwa Najśw. Sakramentem, po czym organizuje się ogromna procesja dla przeprowadzenia Jego Ekscelencji do polowego ołtarza w parku, gdzie ma przemówić. Podziękowawszy Misjonarzom św. Wincentego a Paulo za ich poświęcenie, Ks. Biskup wysławiał potem dzieła chrześcijańskiego miłosierdzia.

Słońce zniża się już na horyzoncie i trzeba myśleć o odjeździe. Najprzew. Ojciec tego wieczora musi odjechać do Paryża. Jakże wdzięczne mu jesteśmy za zmęczenie podjęte dla ucieszenia serc swych dzieci! Powóz odjechał, ale modlitwy nasze pogonią za naszym Czcigodnym Gościem. Niech św. Wincenty go błogosławi, a my, biedne Córki Miłosierdzia z Château - l'Evêque, obyśmy mogły być zawsze radością i pociechą jego serca!